

# KLUCZOWE DECYZJE



akcent

# GEORGE W. BUS H



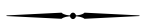
# KLUCZOWE DECYZJE







**KLUCZOWE DECYZJE**



**GEORGE W. BUSH**

*Decision Points*

© 2010 George W. Bush

All rights reserved.

This translation is published by arrangement with Crown Publishers, an imprint of the Crown Publishing Group, a division of Random House, Inc., New York.

*Kluczowe decyzje*

© 2011 BC Edukacja sp. z o.o.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Zabrania się wykorzystywania niniejszej książki lub jej części do celów innych niż prawnie ujęte bez uprzedniej pisemnej zgody wydawcy. Zgodnie z prawem autorskim, bez uprzedniej zgody wydawcy zabrania się powielania, zapisywania oraz zamieszczania dzieła lub jego części w sieci komputerowej, a także w wewnętrznej sieci szkół i innych placówek oświatowych.



*Miłościom mojego życia – Laurze, Barbarze i Jennie*



# SPIS TREŚCI

|    |                     |     |
|----|---------------------|-----|
|    | WPROWADZENIE        | 11  |
| 1  | Rzucanie nałogu     | 13  |
| 2  | Wybory              | 52  |
| 3  | Ludzie prezydenta   | 83  |
| 4  | In vitro            | 128 |
| 5  | Sądny dzień         | 150 |
| 6  | Na wojennej ścieżce | 178 |
| 7  | Afganistan          | 213 |
| 8  | Irak                | 259 |
| 9  | Przywództwo         | 316 |
| 10 | Huragan Katrina     | 359 |
| 11 | Efekt Łazarza       | 388 |
| 12 | Więcej wojska       | 414 |
| 13 | Agenda wolności     | 463 |
| 14 | Kryzys finansowy    | 513 |
|    | EPILOG              | 553 |
|    | PODZIĘKOWANIA       | 558 |
|    | INDEKS NAZWISK      | 563 |



## WPROWADZENIE

**W**ostatnim roku prezydentury zacząłem poważnie myśleć o spisaniu swoich wspomnień. Rozmawiałem z dziesiątkami wybitnych historyków, tak jak polecił mi Karl Rove. Napisanie wspomnień uznali za mój obowiązek. Uważali, że to bardzo istotne, abym opisał prezydenturę ze swojej perspektywy, własnymi słowami.

„Widziałeś »Apollo 13«?”, zapytał mnie jeden ze wspomnianych historyków, Jay Winik. „Każdy wie, że wszystko dobrze się kończy. A ty oglądasz film z zapartym tchem i zastanawiasz się, jak im się to udało”.

Niemal wszyscy polecali mi lekturę „Wspomnień” prezydenta Ulyssesa S. Granta. Książka dobrze oddała jego charakterystyczny punkt widzenia. Za pomocą anegdot odtworzył w niej swoje doświadczenia z czasów wojny secesyjnej. To dzięki nim jego dzieło przetrwało.

Podobnie jak Grant nie chciałem pisać wyczerpującego sprawozdania z całego życia i wszystkich lat prezydentury. Zamiast tego opowiedziałem swoją historię, skupiwszy się na tym, co najważniejsze w pracy prezydenta – na podejmowaniu decyzji. Każdy rozdział nawiązuje do ważnej decyzji albo serii powiązanych ze sobą rozstrzygnięć. Akcja nie biegnie chronologicznie, lecz tematycznie. Nie opisuję wszystkich spraw, które przetoczyły się przez moje biurko. Wielu współpracowników wspominam przelotnie albo nie wspominam wcale, mimo że doceniam ich oddanie – i zawsze będę im wdzięczny za to, co dla mnie zrobili.

Napisałem tę książkę w dwojakim celu. Po pierwsze, mam nadzieję, że udało mi się w niej opowiedzieć, jak to jest być prezydentem przez osiem lat z rządu. Nie wydaje mi się, żeby można było jednoznacznie podsumować moją prezydenturę – czy którąkolwiek z ostatnich prezydentur – jeszcze przez najbliższe dekady. Musi upłynąć sporo czasu, żeby emocje opadły, wnioski się wyklarowały, a uczeni mieli szansę porównać różnorakie

podejścia. Chciałbym jednak, żeby moje wspomnienia były przydatnym źródłem wiedzy dla każdego, kto zechce zgłębić ten okres amerykańskiej historii.

Po drugie, chcę przedstawić czytelnikowi naturę podejmowania decyzji w złożonej sytuacji. Wiele spraw spośród tych, które trafiają na biurko prezydenta, to trudne wyzwania ze sprzecznymi racjami. Na kartach książki opisuję, między czym a czym wybierałem, jakimi zasadami się kierowałem i dlaczego podjąłem takie, a nie inne decyzje. Być może moja historia pomoże nawet niektórym dokonać wyborów w ich życiu...

„Kluczowe decyzje” są oparte głównie na tym, co zapamiętałem. Z pomocą analityków prasowych porównałem i sprawdziłem wszystko z rządowymi dokumentami, ówczesnymi notatkami, wywiadami, artykułami prasowymi i innymi źródłami, włącznie z tajnymi. W niektórych przypadkach mogłem jednak polegać tylko na własnej pamięci. Odpowiedzialność za wszelkie nieścisłości biorę na siebie.

Starałem się najlepiej, jak potrafię, opowiedzieć zarówno o decyzjach słusznych, jak i niewłaściwych, a także o tych, które zmieniłbym, gdyby było mi to dane. Ale kiedy jest się prezydentem, nie ma możliwości dokonywania poprawek. Trzeba robić to, co się uważa za słuszne, i pogodzić się z konsekwencjami. Ja próbowałem tak działać każdego dnia w czasie tych ośmiu lat. Służyłem Ameryce jako prezydent i było to największym zaszczytem w moim życiu. Tym bardziej dziękuję za szansę podzielenia się swoją historią.

## RZUCANIE NAŁOGU

Pytanie było banalne. „Przypominasz sobie ostatni dzień, kiedy nie piłeś?”, zapytała Laura swoim spokojnym, łagodnym głosem. Nie groziła, nie zrędziła. Po prostu chciała znać odpowiedź. Moja żona potrafi wybierać odpowiednie momenty. To był jeden z nich.

„Pewnie, że tak” odpowiedziałem oburzony, po czym pomyślałem o ostatnim tygodniu. W poniedziałek wieczorem wypilem kilka piw z kumplami. We wtorek sam przygotowałem sobie ulubionego poobiedniego B&B, czyli Benedictine z brandy. W środę, kiedy już położyłem Barbarę i Jennę do łóżka, wypilem bourbon z seven up. W czwartek i piątek piłem piwo. W sobotę poszliśmy z Laurą na spotkanie ze znajomymi. Przed obiadem piłem martini, w trakcie piwo, a po obiedzie jeszcze B&B. No nieźle, ostatni tydzień zawałęm.

Szperałem więc dalej w pamięci, próbując sobie przypomnieć jeden dzień bez alkoholu w ciągu ostatnich tygodni. W ciągu miesiąca. I jeszcze wcześniej. Bezskutecznie. Picie stało się moim nałogiem.

Taki jestem: mam nawyki. Przez 9 lat paliłem papierosy, zacząłem jeszcze na studiach. Rzuciłem palenie i zacząłem wciągać tabakę. Zerwałem z tym, po czym przerzuciłem się na żucie tytoniu. Ostatecznie skończyłem na cygarach.

Przez chwilę próbowałem jakoś usprawiedliwić swoje picie. Nijak nie dało się mnie przecież porównać do pijaczków z rodzinnego Midland w Teksasie. Nie piłem za dnia ani w pracy. Byłem w dobrej formie i codziennie biegałem (kolejny dobry nawyk).

Po jakimś czasie zorientowałem się, że biegam nie tylko po to, żeby utrzymać kondycję, lecz także by oczyścić organizm z toksyn. I tak jedno małe pytanie Laury sprowokowało mnie do zadania sobie wielu innych. Woląłem spędzić czas w domu z dziewczynkami czy wyjść na drinka?

Poczytać w łóżku obok Laury czy raczej pić w samotności bourbon, kiedy wszyscy poszli już spać? Pogłębiać wiarę czy może jako bóstwo postrzegać alkohol? Znałem odpowiedzi na te pytania, jednak zebrać się na odwagę i zmienić część swojego życia nie było łatwo.

W 1986 roku i ja, i Laura skończyliśmy czterdzieści lat. Podobnie jak nasi przyjaciele, Don i Susie Evans. Postanowiliśmy uczcić tę okazję w znanym hotelu The Broadmoor w Colorado Springs. Zaprosiliśmy kolegów z dzieciństwa: Joego i Jana O'Neillów, mojego brata Neila i jeszcze jednego znajomego z Midland, Penny'ego Sawyera.

Kolacja urodzinowa odbyła się w sobotni wieczór. Zjedliśmy ogromny posiłek, któremu towarzyszyło sporo butelek wina Silver Oak (po 60 dolarów za sztukę). Wznosiliśmy wiele toastów – za nasze zdrowie, za nasze dzieci, za niańki, które bawiły nasze dzieci... Zachowywaliśmy się coraz głośniejszy, opowiadając na okrągło te same historie. W pewnym momencie razem z Donem uznaliśmy, że jesteśmy tacy świetni, że wypijemy przy każdym stoliku. W końcu zapłaciliśmy kolosalny rachunek i poszliśmy spać.

Następnego dnia obudziłem się z potężnym kacem. Kiedy wychodziłem pobiegać, nie pamiętałem za wiele z poprzedniej nocy. Mniej więcej w połowie drogi wszystko zaczęło mi się przypominać. Znalazłem się na rozdrożu życia. Od miesięcy modliłem się, żeby Bóg wskazał mi, jak lepiej wypełniać Jego wolę. Czytając Pismo Święte, pojąłem naturę pokus i zdałem sobie sprawę, że ziemskie przyjemności mogą zastąpić miłość Stwórcy. Moim problemem było nie tylko picie. Był nim też egoizm. Wódka sprawiła, że zacząłem stawiać siebie na pierwszym miejscu, przed innymi – zwłaszcza przed moją rodziną. A zbyt mocno kochałem Laurę i dziewczynki, żeby do tego dopuścić. Wiara pomogła mi znaleźć rozwiązanie. Wiedziałem, że tylko łaska Boża pomoże mi się zmienić. Nie była to łatwa decyzja, ale zanim skończyłem biegać, już wiedziałem: koniec z picciem.

Kiedy wróciłem do pokoju hotelowego, powiedziałem Laurze, że nigdy więcej nie tknę alkoholu. Spojrzała na mnie, jakby wciąż unosiły się wokół mnie opary, i powiedziała: „To dobrze, George”.

Wiem, co sobie myślała. Już wcześniej obiecywałem, że przestanę, i nic z tego nie wychodziło. Ale nie wiedziała, że tym razem zacząłem przemianę od wewnątrz – a to pozwoliło mi zmienić swoje zachowanie raz na zawsze.



Po około pięciu dniach zacząłem tracić zapał. W miarę jak wspomnienie kaca bledło, pokusa wypicia stawała się coraz silniejsza. Mój organizm łaknął alkoholu. Modliłem się o siłę do zwalczenia tego pragnienia. Biegałem dłużej, żeby jeszcze bardziej się zdyscyplinować. Jadłem też mnóstwo czekolady. Moje ciało domagało się cukru, a czekoladą łatwo było je nakarmić. Zyskałem też dodatkową motywację do biegania – musiałem pozbyć się zbędnych kilogramów.

Laura bardzo mnie wspierała. Czowała, że tym razem naprawdę zamierzam rzucić nałóg. Kiedykolwiek zaczynałem temat, nalegała, żebym wytrwał. Czasami mówiłem o alkoholu tylko po to, żeby usłyszeć jej słowa zachęty.

Przyjaciele także mi pomagali, mimo że nie starali się udawać abstynentów w moim towarzystwie. Na początku ciężko było patrzeć, jak inni bawią się przy drinku czy piwie. Ale na trzeźwo zdałem sobie sprawę, jak głupio musiałem się zachowywać, kiedy piłem. W miarę upływu czasu moje postanowienie nabierało rozpędu. Abstynencja stała się nawykiem sama w sobie – jedynym, z którego byłem zadowolony.

---

Rzucenie nałogu było jednym z najtrudniejszych postanowień, jakie kiedykolwiek podjąłem. Bez niego żadna inna decyzja opisana w tej książce nie byłaby możliwa. Z kolei gdyby nie doświadczenia pierwszych 40 lat życia, nie mógłbym przestać pić. To w tym czasie kształtował się mój charakter, liczne przekonania. W tej podróży życia napotykałem wyzwania, walczyłem, doznawałem porażek. To one składają się na świadectwo, jak potężna jest miłość i jak silna jest wiara. Dowodzą, że ludzie mogą się zmieniać. Patrząc z perspektywy, mogę powiedzieć, że to była bardzo ciekawa podróż.

---

Jestem najstarszym synem George'a i Barbary Bushów. W czasie II wojny światowej mój ojciec służył w wojsku, a zaraz po powrocie do domu poślubił swoją drugą połowę i założył rodzinę. Historia jak wiele innych z tamtego okresu. A jednak w George'u H.W. Bushu było coś wyjątkowego.

Kiedy zaatakowano Pearl Harbor, był w szkole średniej. Dostał się do Yale, ale zamiast iść na studia, zaciągnął się do marynarki – dokładnie w dniu swoich osiemnastych urodzin. Został najmłodszym pilotem w historii. Zanim wyruszył na Pacyfik, zakochał się w ślicznej dziewczynie, Barbarze Pierce. Od razu powiedział znajomym, że się z nią ożeni. Miało o tym przypominać jej imię namalowane na kadłubie samolotu.

Pewnego ranka we wrześniu 1944 roku ojciec wykonywał misję nad okupowaną przez Japończyków Chichi-Jimą. Jego TBF Avenger<sup>1</sup> został trafiony, mimo to ojciec nie wycofał się z akcji, dopóki nie zrzucił bomb na wyznaczony cel. Samolot nurkował z prędkością 200 mil na godzinę. Tata rozkazał pozostałym członkom załogi wyskoczyć ze spadochronem, po czym sam to zrobił. Po wylądowaniu na wodach południowego Pacyfiku dopłynął do maleńkiej gumowej tratwy ratunkowej, która wcześniej służyła za poduszkę siedzenia w samolocie. Uratowany przez załogę łodzi podwodnej usłyszał, że może jechać do domu. Ale on wolał wrócić do swojej eskadry. Misję zakończył tuż przed Bożym Narodzeniem i 6 stycznia 1945 roku poślubił mamę w jej rodzinnym kościele w Rye, w stanie Nowy Jork.

Po wojnie rodzice przeprowadzili się do New Haven, gdzie tata kontynuował studia w Yale. Był niezłym sportowcem – pierwszym bazowym<sup>2</sup> i kapitanem drużyny baseballowej. Mama przychodziła prawie na każdy mecz, nawet wiosną 1946 roku, kiedy już nosiła mnie w swym łonie. Na szczęście na trybunach tuż za bazą domową znajdowało się jedno podwójne miejsce, zaprojektowane kiedyś dla profesora prawa Williama Howarda Tafta<sup>3</sup>.

Ojciec wyróżniał się też w nauce i w ciągu zaledwie dwóch i pół roku zasłużył na odznaczenie Phi Beta Kappa<sup>4</sup>. Uroczystość rozdania dyplo-

1. *Avenger* (mściciel) – amerykański samolot torpedowo-bombowy z okresu II wojny światowej [przyj. red.].

2. Pierwszy bazowy – tradycyjnie jest najlepszym uderzającym zespołu, zajmuje pozycje bardzo blisko pierwszej bazy, stale dotykając jej nogą i będąc gotowym do przyjęcia piłki po odbiciu przez battera (zawodnika odbijającego) drużyny przeciwnej [przyj. tłum.].

3. W.H. Taft ważył ponad 140 kg, był najgrubszym prezydentem w historii USA [przyj. tłum.].

4. Phi Beta Kappa – najstarsze elitarnie stowarzyszenie studenckie w USA, do którego przynależność uważa się za najwyższy honor [przyj. red.].

mów oglądałem w ramionach mamy, drzemiąc przez większość czasu. Nie po raz ostatni spałem wtedy w czasie wykładu.

Wiele lat później miliony Amerykanów dowiedziały się o bohaterkiej historii mego ojca. Ja od samego początku znałem ją na pamięć. Jednym z moich pierwszych wspomnień jest to, kiedy siedzę na podłodze, a mama ogląda album. Pokazuje mi zdjęcia z treningu taty w Corpus Christi<sup>5</sup>, wyniki meczów College World Series<sup>6</sup> i słynne zdjęcie z Babe'em Ruthem<sup>7</sup> na płycie boiska Yale. Ślęczałem nad zdjęciami z wesela rodziców – oficera marynarki i jego uśmiechniętej młodej żony. Spośród wszystkich pamiątek w albumie najbardziej lubiłem kawałek pontonu, który uratował życie mojemu tacie na Pacyfiku. Musiałem denerwować ojca, każąc mu ciągle opowiadać historie z czasów wojny. Nie lubił się przechwalać, jednak mama uwielbiała o nim mówić. Ubóstwiała go, zresztą tak samo jak ja. Kiedy dorosłem, poznałem wiele osób, które chciałem naśladować. Ale prawda jest taka, że nigdy nie musiałem szukać innego wzoru. Byłem synem George'a Busha.

---

Kiedy tata skończył studia w 1948 roku, wszyscy myśleli, że zacznie pracę na Wall Street – jego ojciec pracował w domu inwestycyjnym, który odnosił sukcesy. Ale on chciał działać na własną rękę. Dlatego spakowali z mamą swój dobytek do czerwonego studebakera i ruszyli na zachód. Zawsze podziwiałem ich odwagę i byłem wdzięczny za to, że wybrali akurat to miejsce. To, że mogłem dorastać w zachodnim Teksasie, uważam za swoje ogromne dziedzictwo.

Pierwszy rok spędziliśmy w robotniczej Odessie, miasteczku z paroma wybrukowanymi ulicami i burzami pyłowymi. Mieszkaliśmy w małym mieszkaniu z łazienką, którą dzieliliśmy z jedną bądź dwiema prostytutkami (zależy, kogo się o to zapytało). Ojciec pracował na ni-

5. *Naval Air Station Corpus Christi* – baza lotnicza marynarki wojennej w pobliżu miasta Corpus Christi w Teksasie [przyp. red.].

6. *College World Series* – zawody baseballowe odbywające się raz w roku, w czerwcu, w Omaha w stanie Nebraska [przyp. red.].

7. Babe Ruth (George Herman Ruth Jr.) – jeden z najlepszych baseballistów w historii, największa legenda tej gry [przyp. red.].

skim stanowisku w przedsiębiorstwie paliwowym. Do jego obowiązków należało zamiatanie magazynów i malowanie pomp. Kiedyś jeden z kolegów z pracy zapytał go, czy był na studiach. Tata powiedział, że tak, skończył Yale, na co tamten po chwili odrzekł: „Nigdy nie słyszałem o tej szkole”.

Po krótkim pobycie w Kalifornii w 1950 roku wróciliśmy do zachodniego Teksasu. Zamieszkaliśmy w Midland, miejscu, które mam przed oczami, gdy wracam pamięcią do okresu dorastania. To było 20 mil na wschód od Odessy. Nie rosły tam drzewa, ziemia była płaska, wyschnięta i zakurzona. Natomiast pod nią znajdowało się morze ropy.

Midland leży w samym centrum basenu permskiego, który w latach 50. XX w. zapewniał 20% krajowej produkcji ropy. Miasto miało własny przedsiębiorczy rytm. Toczyła się tam zacięta walka, zwłaszcza w biznesie związanym z wydobywaniem ropy. Ale istniało też poczucie wspólnoty. Każdy mógł coś do niej wnieść. Znajomi rodziców wykonywali najróżniejsze zawody. Jeden malował domy, drugi był chirurgiem, jeszcze inny wylewał cement. Dziesięć przecznic od nas mieszkał budowlaniec, pan Harold Welch. Upłynęło dwadzieścia pięć lat, zanim spotkałem go znowu i... zacząłem zalecać się do jego uroczej córki, Laury Lane.

Życie w Midland było takie proste. Jeździliśmy na rowerach z kumplami: Mikiem Proctorem, Joem O’Neillem i Robertem McCleskeyem. Wybieraliśmy się na wycieczki skautów. Chodziłem po domach, sprzedając cukierki na cel charytatywny. Godzinami graliśmy w baseball, wybijając piłki, dopóki mama nie zawołała kogoś z nas na obiad. Kiedy tata przychodził z nami pograć, byłem podekscytowany. Słysnął z łapania piłki zza pleców (nauczył się tej sztuczki w czasach studenckich). Próbowaliśmy go naśladować, ale wychodziliśmy z tych prób posiniaczeni.

Jeden z momentów, które napawały mnie największą dumą w moim młodym życiu, nadszedł, kiedy miałem jedenaście lat. Graliśmy z tatą w ogródku. Posłał szybką piłkę, a mi udało się ją złapać. „Synu, dałeś radę”, powiedział z radością. „Teraz mogę rzucać do ciebie tak mocno, jak tylko chcę”.

To były beztrudne lata. Określiłbym je słowem „idylla”. W piątkowe wieczory dopingowaliśmy drużynę Buldogów ze szkoły średniej w Midland. W niedzielę rano chodziliśmy do kościoła. W tamtych czasach nikt

nie zamykał drzwi w domach. Wiele lat później, kiedy opowiadałem o swoim amerykańskim śnie, miałem na myśli właśnie Midland.

Ten szczęśliwy okres zaburzyło jedno bolesne wydarzenie. Wiosną 1953 roku u mojej trzyletniej siostry Robin wykryto białaczkę – wtedy chorobę właściwie nieuleczalną. Rodzice wysłali ją do szpitala Memorial Sloan-Kettering w Nowym Jorku, licząc na cud. Poza tym wiedzieli, że naukowcy skorzystają, studiując historię jej choroby.

Mama miesiącami siedziała przy łóżku Robin. Tata jeździł tam i z powrotem pomiędzy Teksasem a Wschodnim Wybrzeżem. Mną zajęli się przyjaciele rodziców. Kiedy ojciec był w domu, bardzo wczesnie wstawał do pracy. Po jakimś czasie zorientowałem się, że codziennie chodzi na mszę o 6.30 i modli się za Robin.

Rodzice nie potrafili mi powiedzieć, że moja siostra umiera. Poprzez stali na tym, że leży chora gdzieś we wschodniej części kraju. Któregoś dnia w szkole nauczyciel poprosił mnie i mojego kolegę, żebyśmy zanieśli gramofon do innego skrzydła budynku. Kiedy taszczyliśmy ten nieporęczny sprzęt, przed szkołą zatrzymał się groszkowy oldsmobile rodziców. Byłem w szoku. Mógłbym przysiąc, że w oknie widziałem też jasne loczki Robin. Pognałem do samochodu. Mama mnie przytuliła, a ja zerknąłem na tylne siedzenie. Robin tam nie było. „Ona umarła”, wyszeptala mama. W czasie krótkiej drogi powrotnej do domu po raz pierwszy widziałem, jak rodzice płaczą.

Mnie też było smutno – w sposób, w jaki może być smutno siedmioletkowi. Straciłem siostrę i przyszłego towarzysza zabaw. Smutno było mi także dlatego, że widziałem, jak bardzo cierpią rodzice. Minęło wiele lat, zanim zrozumiałem różnicę pomiędzy moją rozpaczą a rozdzierającym bólem, jaki wdarł się w ich serce po śmierci córki.

---

Śmierć Robin zapoczątkowała nowy okres w relacjach między mamą i mną – zbliżyliśmy się do siebie. Tata zawsze miał dużo pracy, dlatego większość czasu spędzałem z nią, obdarzając ją uczuciem i próbując pocieszać, rozśmieszać. Któregoś dnia Mike Proctor przyszedł po mnie i zapytał, czy przyłączę się do zabawy. „Nie”, odpowiedziałem, „muszę zostać z mamą”.

Przez jakiś czas czułem się jedynakiem. Młodszy o 7 lat Jeb był niemowlęciem. Dwaj najmłodszy bracia, Neil i Marvin, oraz siostra Doro pojawili się dużo później. Ale nawet kiedy dorosłem, mama nadal odgrywała ważną rolę w moim życiu. Opiekowała się drużyną zuchów, woziła nas do parku narodowego Carlsbad Caverns, gdzie łączyliśmy pomiędzy stalaktytami i stalagmitami. Mając syna w Małej Lidze, skrupulatnie notowała wyniki każdego meczu. Woziła mnie do ortodonta (najbliższy był w Big Springs), a po drodze próbowała nauczyć francuskiego. Do tej pory pamiętam, jak podczas jazdy przez pustynię powtarzam: *Ferme la bouche... ouvre la fenêtre*. Ciekawe, co by na to powiedział Jacques Chirac.

Sporo ze swojej osobowości odziedziczyłem po niej. Mamy podobne poczucie humoru. Oboje lubimy się drażnić – z miłości, a czasami żeby udowodnić swoją rację. Oboje mamy wybuchowy temperament. I bywamy bezceremonialni, co nieraz wpędza nas w kłopoty. Kiedy ubiegałem się o fotel gubernatora Teksasu, mawiałem, że oczy mam po tacie, a język po mamie. Niby żartowałem, ale taka właśnie jest prawda.

Bycie dzieckiem George'a i Barbary Bushów zobowiązywało, ale nie w takim znaczeniu, jakiego wielu mogłoby się spodziewać. Rodzice nigdy nie dokonywali projekcji swoich marzeń na mnie. Nawet jeśli liczyli, że zostanę sławnym baseballistą albo ważnym politykiem, albo artystą (o tym nie było mowy!), nigdy mi tego nie powiedzieli. Ich rolą było obdarzanie mnie miłością i zachęcanie do pójścia własną drogą.

Oczywiście wyznaczali nam pewne granice – a ja je czasami przekraczałem. Mama była jak ochroniarz. Nieraz się złościła, ale ponieważ byliśmy do siebie podobni, wiedziałem, czym ją zmiękczyć. Niekiedy pozwalała mi na zuchwałość. Kiedy byłem „świński”, jak to określała, potrafiła porządnie zmyć mi głowę. Nieraz się to zdarzało. Zazwyczaj starałem się jej nie prowokować. Ale byłem pełnym werwy chłopcem, który szukał własnej drogi – tak jak ona szukała własnej jako matka. Niezupenie żartuję, kiedy mówię, że to przeze mnie osiwiła.

W miarę jak dorastałem, zauważyłem, że miłość rodziców jest bezwarunkowa. Wiem, bo to sprawdziłem. Gdy miałem 14 lat, zaliczyłem dwie stłuczki samochodowe (wtedy można było dostać prawo jazdy już w tak młodym wieku). Rodzice nadal mnie kochali. Urwałem drzwi w samochodzie pożyczonym od taty, bo nieostrożnie ruszyłem na wstecz-

nym. Wlałem wódkę do akwarium siostry, uśmiercając jej złotą rybkę. Czasami byłem opryskliwy i zuchwały. Mimo to rodzice nadal mnie kochali.

Ich ciepła miłość miała na mnie dobry wpływ. Kiedy wiemy, że ktoś kocha nas bezwarunkowo, nie ma po co się buntować, podobnie jak nie ma sensu bać się porażki. Dzięki temu mogłem cieszyć się życiem, podążać za własnym instynktem i po prostu kochać rodziców, tak jak oni kochali mnie.

Pewnego dnia, niedługo po tym, jak nauczyłem się jeździć, mama wezwała mnie do sypialni. Tata był wtedy w podróży służbowej. W jej głosie wyczuwałem napięcie. Natychmiast kazała się zawieźć do szpitala, ale kiedy zapytałem, co się stało, odparła, że opowie mi w samochodzie. Kiedy ruszyliśmy, poprosiła, żebym jechał ostrożnie i omijał dziury. Później wyjaśniła mi, że właśnie poroniła. Byłem zaskoczony. Nigdy nie spodziewałem się, że będę z nią rozmawiał na takie tematy. Nigdy też nie sądziłem, że zobaczę pozostałości zarodka – mama wiozła je ze sobą w słoiku. „To jest człowiek”, pomyślałem. „Młodszy brat albo siostra”.

Mama zarejestrowała się na recepcji i poszła na badania. Chodziłem tam i z powrotem po korytarzu, żeby uspokoić nerwy. Pewna starsza pani odezwała się do mnie: „Spokojnie, kochanie, z żoną wszystko będzie w porządku”.

Kiedy pozwolono mi wejść do pokoju mamy, lekarz zapewnił, że nic jej nie będzie, ale na noc musi zostać w szpitalu. Powiedziałem jej, co usłyszałem od staruszki w holu, a ona roześmiała się tym swoim gromkim śmiechem. Wróciłem do domu. Czułem się już trochę lepiej.

Następnego dnia pojechałem odebrać ją ze szpitala. Podziękowała mi, że byłem taki troskliwy i odpowiedzialny. Poprosiła też, żebym nikomu nie mówił o poronieniu – to była prywatna sprawa naszej rodziny. Uszanowałem jej wolę i dopiero za jej zgodą napisałem o tym w tej książce. To, co zrobiłem dla mamy tamtego dnia, pozornie nie było niczym wielkim, ale dla mnie było czymś bardzo ważnym. Więź między nami dodatkowo się zacieśniła.

---

Dorastając w Teksasie, o reszcie rodziny Bushów myślałem jak o ludziach z innego świata. W wieku 6 lat odwiedziliśmy dziadków ze strony taty – mieszkali w Greenwich, w stanie Connecticut. Pozwolono mi wtedy zjeść obiad z dorosłymi, więc założyłem marynarkę i krawat – co w Midland zdarzało się tylko przy okazji szkółki niedzielnej. Stół był elegancko nakryty – nigdy nie widziałem tylu łyżek, widelców i noży, tak równiutko ułożonych. Ubrana na czarno kobieta w białym fartuchu podała dziwnie wyglądającą czerwoną zupę z jasnym kleksem na środku. Spróbowałem odrobinę. Smakowała fatalnie. Wszyscy mi się przyglądali, czekając, aż skończę ten rarytas. Mama ostrzegła mnie, że powinienem zjadać wszystko do końca bez narzekania. Zapomniała tylko powiedzieć kucharzowi, że wychowałem się na maśle orzechowym i dżemie, a nie na barszczu.

Dużo słyszałem o dziadkach ze strony ojca. Mój dziadek, Prescott Bush, był niebotycznie wysokim mężczyzną (mierzył ponad dwa metry), uśmiechniętym i wielkodusznym. W Greenwich dobrze go znano jako biznesmena o nieskazitelnej reputacji i długoletniego przewodniczącego rady miejskiej. Doskonale grał w golfa i nawet zarządzał Amerykańskim Stowarzyszeniem Golfowym. Pewnego razu trafił 66 punktów w zawodach Senior Open.

W 1950 roku Gampy, bo tak go nazywaliśmy, ubiegał się o miejsce w Senacie. Przegrał tysiącem głosów i wycofał się z polityki. Ale dwa lata później Republikanie z Connecticut przekonali go do ponownego kandydowania. Tym razem wygrał.

Kiedy miałem 10 lat, odwiedziłem go w Waszyngtonie. Razem z babcią zabrali mnie na zgromadzenie do Georgetown. Zadowolony spacerowałem pomiędzy dorosłymi, kiedy dziadek złapał mnie za rękę i powiedział, że chce, abym się z kimś spotkał. Zaprowadził mnie do gigantycznego mężczyzny, jedyne, który był równie wysoki jak on sam. „Mam tu jednego z twoich wyborców”, powiedział dziadek do wielkoluda. Moja ręka zginęła w jego wielkiej dłoni. „Miło mi cię poznać”, zwrócił się do mnie kolega Gampyego, przywódca większości w Senacie – Lyndon B. Johnson<sup>8</sup>.

8. Lyndon B. Johnson – amerykański polityk Partii Demokratycznej, wiceprezydent USA w latach 1961–1963 oraz prezydent w latach 1963–1969 [przyyp. red.].



Dziadek był surowym, nieugiętym człowiekiem. Reprezentował szkołę, według której dzieci powinno się widzieć, a nie słyszeć, co takiemu mądrali jak ja było dość obce. Kiedy wymagała tego sytuacja, natychmiast przywoływał nas do porządku. Mogłem się o tym przekonać, gdy gonił mnie po pokoju po tym, jak pociągnąłem za ogon jego ulubionego psa. Wtedy uważałem, że dziadek jest przerażający. Wiele lat później przekonałem się, że ma wielkie serce. Mama opowiadała, jak ją pocieszył po śmierci Robin, wybierając dla małej piękne miejsce pod grób na cmentarzu Greenwich. Kiedy dziadek umarł w 1972 roku, został pochowany obok Robin.

Tata kochał i szanował swojego ojca, natomiast mamę wprost uwielbiał. Dorothy Walker Bush była prawdziwym aniołem. Nazywaliśmy ją Ganny. Prawdopodobnie była najbardziej uroczą osobą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Pamiętam, jak układała mnie do łóżka, kiedy byłem mały, i łaskotała po plecach, kiedy odmawialiśmy wieczorne modlitwy. Była skromną osobą i nauczyła nas, że nie wolno się przechwalać. Dożyła momentu, w którym tata został prezydentem. Zmarła w 1992 roku, w wieku 91 lat – kilka tygodni po tym, jak przegrał. Był z nią w jej ostatnich chwilach. Kiedy poprosiła go o przeczytanie fragmentu Biblii, z książki wypadł plik kartek. To były listy, które tata napisał do niej wiele lat wcześniej. Przez całe życie była do nich bardzo przywiązana i chciała je mieć przy sobie do samego końca.

Rodzice mamy mieszkali w Rye, w stanie Nowy Jork. Jej matka, Pauline Robinson Pierce, zmarła, kiedy miałem 3 lata. Zginęła w wypadku, gdy dziadek Marvin schylił się, żeby zapobiec rozlaniu kawy. Samochód gwałtownie skręcił i uderzył w kamienną ścianę. To po babci dostała imię moja siostra.

Bardzo lubiłem dziadka Pierce'a, na którego wszyscy mówili Monk (Zakonnik). Był dobry w czterech dyscyplinach sportowych na uniwersytecie Miami w Ohio, dzięki czemu urósł w moich oczach do rozmiarów legendy. Był przewodniczącym McCall<sup>9</sup> i dalekim krewnym prezydenta Franklina Pierce'a. Pamiętam go jako łagodnego, cierpliwego i skromnego człowieka.

9. McCall Corporation – amerykańska korporacja prasowa [przyp. red.].

Wyjazdy na wschód nauczyły mnie dwóch ważnych rzeczy. Po pierwsze, że potrafię czuć się swobodnie niemal w każdych warunkach. Po drugie, że bardzo lubię mieszkać w Teksasie. Oczywiście Wschodnie Wybrzeże miało tę ogromną zaletę, że mogłem oglądać pierwszoligowe mecze baseballu. Któregoś dnia wujek Bucky, najmłodszy brat taty, zabrał mnie na mecz New York Giants na stadion Polo Grounds. Do tej pory pamiętam ten dzień, kiedy mogłem oglądać w akcji swojego idola, Williego Maysa.

Pięćdziesiąt lat później znowu miałem możliwość go zobaczyć – tym razem wystąpił jako honorowy komisarz podczas meczu baseballu dla dzieci rozgrywanego na Południowym Trawniku Białego Domu. Miał 75 lat, ale wciąż wyglądał jak Say Hey Kid<sup>10</sup>. Tym młodym zawodnikom powiedziałem wtedy, że chciałem być Williem Mayssem swojego pokolenia, ale nie potrafiłem odbić podkreśnionej piłki – dlatego zostałem prezydentem.



W 1959 roku moja rodzina przeniosła się z Midland do oddalonego o 550 mil Houston. Tata był dyrektorem jednej z firm w rozwijającym się biznesie przybrzeżnych odwiertów i rozsądnie było zamieszkać gdzieś bliżej platform wiertniczych w Zatoce Meksykańskiej. Nasz nowy dom znajdował się w strefie bujnej roślinności, często nawiedzanej przez ulewy. To było zupełne przeciwieństwo Midland, gdzie jedynym rodzajem burzy była burza piaskowa. Stresowałem się przeprowadzką, ale jednocześnie Houston mnie fascynowało. Nauczyłem się grać w golfa, nawiązałem nowe przyjaźnie i zacząłem naukę w szkole Kinkaid. Wtedy wydawało mi się, że Midland i Houston dzieli kolosalna przepaść, a to było nic w porównaniu z tym, co miało nastąpić później.

Któregoś dnia mama czekała na mnie po szkole na końcu naszego podjazdu. Byłem w dziewiątej klasie i nie zdarzało się, żeby matki czekały na nas przed domem, przynajmniej moja tego nie robiła. Była bardzo podekscytowana. Kiedy wysiadłem ze szkolnego autobusu, powie-

10. Say Hey Kid – przydomek Williego Maysa [przyp. tłum.].

działa: „Gratulacje, George – dostałeś się do Andover!”. Dla niej to była dobra nowina. Ja nie byłem tego taki pewien.

Poprzedniego lata ojciec zabrał mnie do swojej *alma mater*, szkoły średniej o nazwie Akademia Phillipsa w Andover, w stanie Massachusetts. Wydawała mi się zupełnie inna od tego, co znałem. Większość internatów znajdowała się w budynkach z czerwonej cegły otaczających dziedziniec. Jak na uniwersytetach. Polubiłem Kinkaid, jednak decyzja została podjęta. Taka była rodzinna tradycja.

Pierwszym wyzwaniem było wytłumaczenie znajomym, o co chodzi z tym Andover. Wówczas większość Teksaszczyków, którzy chodzili do szkoły średniej, miała problemy z karnością. Kiedy powiedziałem koledze, że idę do szkoły z internatem, zapytał tylko: „Bush, co zrobiłeś nie tak?”.

Po rozpoczęciu nauki jesienią 1961 roku uznałem, że coś musi być na rzeczy. Musieliśmy nosić krawaty na lekcjach, do posiłków i na obowiązkowych nabożeństwach. Zima była tak mroźna, że równie dobrze mógłbym mieszkać na Syberii. Pochodziłem z Teksasu, więc musiałem nauczyć się nowych pór roku: marznący śnieg, świeży śnieg, roztopiający się śnieg, szary śnieg. Co więcej na kampusie nie było kobiet – oprócz tych, które pracowały w bibliotece. Po jakimś czasie zaczęliśmy je uważać niemal za gwiazdy filmowe.

Szkoła to dopiero było wyzwanie. Pójście do Andover było najtrudniejszą decyzją w moim życiu, dopóki nie wystartowałem w wyborach prezydenckich blisko 40 lat później. Musiałem uczyć się jak szalony, żeby dorównać innym. Na pierwszym roku wyłączano nam światło o 22.00, więc niejedną noc spędziłem na czytaniu przy tym, które przedzierało się przez drzwi z korytarza.

Najcięższe walki toczyłem z angielskim. Jednym z pierwszych zadań było wypracowanie, w którym napisałem o smutku po stracie siostry. Uznałem, że stać mnie na wymyślenie lepszego słowa niż „łzy”. Byłem w końcu na Wschodnim Wybrzeżu, mogłem się chociaż postarać o większe wyrafinowanie. Wyciągnąłem więc słownik Roget’s, który mama wcisnęła mi do walizki, i napisałem: „Ranić spływało mi po policzkach”<sup>11</sup>.

11. W oryginale *Lacerates were flowing down my cheeks* – *lacerate* jest synonimem angielskiego wyrazu *to tear* (drzeć, rozrywać, ranić), a nie *a tear* (łza) [przyp. red.]

Gdy nauczyciel zwrócił mi pracę, na jej pierwszej stronie widniała wielka pała. Czułem się oszołomiony i poniżony. W Teksasie zawsze dostawałem dobre stopnie, teraz musiałem przełknąć pierwszą uczelnianą porażkę. Pożaliłem się rodzicom przez telefon, ale oni zachęcali mnie, żebym mimo to zostałem w tej szkole. Postanowiłem, że wytrzymam. Nie zniechęcam się tak łatwo.

Towarzystwo zaaklimatyzowałem się dużo szybciej. W Andover była grupka ludzi z Teksasu, w tym Clay Johnson z Fort Worth. Nadawaliśmy na tych samych falach, więc szybko się zaprzyjaźniliśmy. Z łatwością poszerzyłem grono znajomych. Dla kogoś, kogo interesowały nowe kontakty, Andover było rajem.

Odkryłem, że mam talent organizacyjny. Na ostatnim roku mianowałem siebie komisarzem ligi palanta. Nazwałem się „Tweeds Bush”, po znanym nowojorskim polityku. Wybrałem też gabinet pomocników włącznie z sędzią i psychologiem. Wymyśliliśmy skomplikowane zasady i system play-offów. Nic na dziko – jestem formalistą.

Stworzyliśmy też szablony ligowych identyfikatorów, które bez problemu mogły udawać dowody osobiste. Ale plan został odkryty przez szkolne władze. Musiałem, niestety, zaniechać działań. Moim ostatnim posunięciem jako komisarza było mianowanie następcy – został nim mój kuzyn, Kevin Rafferty.

Na ostatnim roku historii uczył mnie Tom Lyons. Lubił zwracać na siebie uwagę, uderzając jedną z kul o tablicę. Pan Lyons grał w futbol na Uniwersytecie Brown, dopóki nie zachorował na polio<sup>12</sup>. Był dla mnie ogromnym autorytetem. Na jego wykładach historyczne postaci ożywały, zwłaszcza prezydent Franklin Roosevelt. Profesor był wielkim fanem jego polityki i zdaje mi się, że czerpał inspirację ze zwycięstwa Roosevelta nad chorobą.

Pan Lyons ostro popychał mnie do przodu. Był surowy, ale też wychowywał. Krytykował i chwalił. Dużo wymagał – i to jemu zawdzięczam zamiłowanie do historii. Wiele lat później zaprosiłem pana Lyonsa do Gabinetu Owalnego. Dla mnie to był szczególny moment – uczeń, który stawał się historią, stał obok profesora, który kiedyś jej nauczał.

12. Polio (choroba Heinego-Medina) – choroba zakaźna wywoływana przez wirus polio; może prowadzić do porażenia kończyn [przyp. red.].

---

Nauka w Andover zmierzała do końca i nadeszła pora na złożenie podania na studia. Moją pierwszą myślą było Yale – w końcu urodziłem się w New Haven. Jedną z bardziej czasochłonnych formalności okazało się wypisanie na niebieskim formularzu nazwisk krewnych, którzy chodzili do tej szkoły. A więc dziadka i taty, wszystkich jego braci i bliższych kuzynów. Nazwiska tych dalszych musiałem już napisać na odwrocie.

Mimo rodzinnych powiązań wątpiłem, że się dostanę. Stopnie i wyniki testów miałem przyzwoite, ale pozostawałem w tyle za innymi z klasy. Dziekan szkoły, G. Greenville Benedict, był realistą. Poradził mi załatwić „jakieś dobre zabezpieczenie” na wypadek, gdyby Yale nie wypaliło. Złożyłem też papiery do innej dobrej szkoły, na Uniwersytet Teksasu w Austin, i nawet zwiedziłem z tatą kampus. Już widziałem tam siebie oczami wyobraźni, realizującego plan B.

Byłem zdziwiony, kiedy któregoś dnia znalazłem w skrzynce grubą kopertę z informacją o przyjęciu do Yale. Rekomendację pisał pan Lyons i jedyne, co mi przyszło do głowy, to że musiała być naprawdę dobra. Clay Johnson otworzył swoją kopertę w tym samym czasie. Postanowiliśmy zostać współlokatorami. Decyzja została podjęta.

---

Opuszczenie Andover było jak pozbycie się kaftana bezpieczeństwa. Na studiach kierowałem się banalną zasadą: pracuj ciężko, baw się intensywnie. Przestrzegałem tego pierwszego, w drugim byłem wybitny. Dołączyłem do bractwa Delta Kappa Epsilon, grałem w rugby i uprawiałem inne sporty, chodziłem na wycieczki do żeńskich kampusów i dużo czasu spędzałem ze znajomymi.

Gwałtowny temperament nieraz mnie ponosił. Na ostatnim roku pojechaliśmy na mecz do Princeton. Natchniony wygraną Yale – a jeszcze bardziej popijawą – zachęciłem naszą grupkę do zniszczenia bramki rywali. Zwolenników Princeton to nie rozbawiło. Siedziałem już na po-przeczce, kiedy ochroniarz ściągnął mnie na dół. Przemaszerowałem przez całe boisko, po czym zostałem wsadzony do radiowozu. Przy-